

Jadwiga Komorowska

Biesiadowanie dawniej i dziś

Przegląd Socjologiczny / Sociological Review 32/1, 181-195

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JADWIGA KOMOROWSKA

BIESIADOWANIE DAWNIEJ I DZIŚ*

Zabawa, jak pisał holenderski badacz kultury Johan Huizinga, nie jest życiem „zwykłym” czy też „właściwym”. Jest to raczej wykraczanie z kręgu użyteczności w świat bezinteresownych zajęć umożliwiających artystyczną ekspresję i jednocześnie towarzyskie, społeczne współzycie. W tym świecie zajęć, nie mających na celu wartości materialnych, wystawia się zresztą na próbę wiele walorów duchowych, takich jak wytrwałość, opanowanie się ze względu na reguły gry i inne. Wartości te jednak bawiący się nie traktują jako narzucone przymusowo. Realizują je jakby mimochodem, koncentrując się na przeżywaniu miłego odpoczynku poza wymogami powszedniego dnia. „Zabójcze jest tylko obumieranie humoru” — napisał ten autor w swojej sławnej książce *Homo ludens*. Podjął on się interesującej próby wydobycia z wielu zjawisk kulturowych aspektu ludycznego. W konsekwencji doszedł do wniosku, że cała kultura oparta jest w pewnym sensie na szlachetnej zabawie i że „chcąc reprezentować najwyższą jakość stylu i godności, nie może się ona wyrzec tej ludycznej treści”¹.

Tak szerokie ujęcie ludyzmu włącza w jego zakres prawie wszystkie świąteczne symboliczne domowe zachowania. Jednak uwzględnienie „współczynnika humanistycznego” w rozpatrywaniu ich funkcji zmniejsza ilość tych zachowań, które można by zaklasyfikować jako zabawowe. Młodzież traktuje jako zabawę przybycie św. Mikołaja, malowanie

* Artykuł jest fragmentem książki *Świąteczne zwyczaje domowe w Warszawie*, która ukaże się w 1980 r. w Państwowym Wydawnictwie Naukowym. Praca ta powstała w wyniku badań empirycznych. Głównymi informatorami byli uczniowie warszawskich szkół średnich.

¹ J. Huizinga, *Homo ludens*, Warszawa 1967, s. 290.

jaj, bicie się pisankami², dyngus, dmuchanie na świece urodzinowe, moment „niespodzianki” w otrzymywaniu prezentów przy różnych okazjach, wróżby różnego rodzaju, wesołą rozmowę i żarty przy biesiadnym stole oraz tańce i śpiewy. Spośród tych zwyczajów prawdziwie powszechne jest jedynie wesołe biesiadowanie oraz dyngus³ (był praktykowany w 84% badanych rodzin). Biorąc pod uwagę fakt powszechnego oglądania programów telewizyjnych, wprowadzających w domowe świętowanie bierną formę rozrywki i wypoczynku, stwierdzić można, że w badanych rodzinach wielkomiejskich aktywność zabawowa w świątecznej zwyczajowości jest raczej słaba i polega głównie na ucztowaniu.

„Polak człek biesiadny”. Aleksander Brückner podaje, że słowo „biesiada” pochodzi od „zasiadania, zgromadzania [...] ale pierwotnie [...] wyłącznie ‘mowa’, cerk. *besěda*, ‘rozmowa, mowa’”⁴. Zygmunt Gloger pisze, że jest to „posiedzenie wesołe przy napitku i potrawach, uczta, cześć, bankiet, luszytek, gody, godowanie, ucztowanie, zabawa. Lud wiejski nazywa biesiadą każdą uroczystość rodzinną, a mianowicie wesela i chrzciny, w których starym zwyczajem cała wieś bierze udział, tak jak dawniej

² W *Encyklopedii staropolskiej* Z. Glogera (wyd. 2, t. IV, Warszawa 1972) na s. 26 czytamy: „O malowaniu jaj w starożytności mamy już wzmiankę w dziełach Owidiusza, Pliniusza i Juwenala [...] Nie tylko zwyczaj malowania jaj wielkanocnych był już w wieku XIII powszechny w Polsce, ale i zabawa z nimi, zwana dziś »na wybitki«, »w bitki«, w której dwaj przeciwnicy uderzają swoje pisanki jedna o drugą, a który stłucze jajko przeciwnika, wygrywa takowe [...] Zwyczaj malowania jaj wielkanocnych był powszechny w narodzie”. W dalszym ciągu autor *Encyklopedii* podaje różne techniki malowania jaj, czyli „pisanek” lub „kraszanek”, używane przez wiejskie dziewczęta, oraz nazwy upowszechnionych deseni, a następnie pisze: „Był stary zwyczaj taczania pisanek na mogiłach przy obchodzie pamiętki zmarłych i oddawania tych jaj potem dziadom. Starzy ludzie pamiętają go w Wilnie, a i krakowska »Rękawka« jest pamiętką tego zwyczaju naszych przodków”.

³ „Początek tego zwyczaju musi być starożytnym, skoro widzimy go zarówno w Azji u kolebki ludów aryjskich, jak i w Słowiańszczyźnie [...] Oczywiście u chrześcijan zwyczaj stary musiał przekształcić się. W Polsce narzucono mu nazwę niemiecką i przywiązano do wiosennego święta Wielkiejnocy. Kitowicz pisze o Dyngusie z czasów saskich: »Była to swawola powszechna w całym kraju, w niedzialek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i w dni następne kobiety mężczyźn. Oblewano się rozmaitym sposobem. Amanci, chcąc tę ceremonię odprawić bez przykrości, skrapiali lekko różaną lub inną pachnącą wodą po rękę, czasem po gorsie, małą jaką sikawką, albo z flaszeczki. Ci, którzy swawolę nad dyskrecją przekładali, oblewali i damy wodą prostą, chlując garnkami, sklenicami lub dużemi sikawkami prosto w twarz albo od nóg do góry«”. *Encyklopedia staropolska*, wyd. 2, t. II, Warszawa 1972, s. 88.

⁴ A. Brückner, *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Warszawa 1974, s. 26—27.

po domach szlacheckich całe sąsiedztwo: stary bowiem obyczaj był wspólny całemu narodowi”⁵.

Zbyt tłumnych biesiad nie lubiono, trzymając się staropolskiej zasady: „w dużej kupie bić się, a w małej jeść”, i jak pisze Władysław Łoziński, wierzone przysłowiu, że „siedem biesiada, dziewięć zwada”⁶.

Współczesne domowe biesiadowanie także, stosunkowo rzadko, narusza tę staropolską regułę, wykraczając nieczęsto poza ramy małych grup społecznych. Najczęściej odbywa się w ramach rodziny rozszerzonej. Nierzadko stół biesiadny, gromadzący jej członków, jest stołem dziadków, a głównie stołem babki. Rozproszeni na co dzień i „zalatani” członkowie rodziny zarówno podstawowej, jak i rozproszonej skupiają się i gromadzą wokół biesiadnego stołu na ogół przy każdej domowej uroczystości i świątecznej okazji. Tam jednak, gdzie więź rodzinna jest słaba, gdzie pojawia się rozpad małżeństwa i rodziny, gromadzenie to i skupianie bywa nader rzadkie. W jednym takim właśnie przypadku tylko dwa razy w roku — na wigilię Bożego Narodzenia i na Wielkanoc członkowie rodziny (ojciec, matka, babcia i córka) zasiadali razem przy stole i wspólnie spożywali posiłek. Nawet w niedzielę każdy jadł osobno, podobnie jak też osobno „odrabiał różne zaległości” i osobno spędzał wolny czas.

Biesiadowanie wiązało się niegdyś z „ludzkością”, czyli towarzyską ogładą. „Wszystkie bowiem zalety towarzyskie: uprzejmość, wesołość, nieusuwanie się od ochoty sąsiedzkiej i przyjacielskiej, a przede wszystkim gościnność, obejmowano w dawnej Polsce słowem »ludzkość«” — podaje wyżej cytowany znawca kultury staropolskiej i dalej pisze: „Jakże to wszakże często bywa, że jedno i to samo słowo, które oznaczało pierwotnie cnotę, służy za nazwę i wadzie, jakby dla uwydatnienia pewnej wspólności źródła jednej i drugiej — »ludzkość« służy później za nazwę hulaszczosci i wybrykom życia. Krasicki jeszcze używa słowa ludzkość jako synonimu grzeczności i gościnności”⁷.

Jan Stanisław Bystron w *Dziejach obyczajów...* informuje, że biesiadników w XVII i XVIII w. obowiązywał specjalny rytuał biesiadny: „można było jeść ponad miarę i upić się do nieprzytomności, ale zawsze pewnych zwyczajów trzeba było się trzymać, aby nie stracić opinii »polityka«, człowieka umięjącego się odpowiednio zachować”⁸.

⁵ Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, wyd. 2, t. I, Warszawa 1972, s. 172.

⁶ W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Warszawa 1968, s. 211—212.

⁷ *Ibidem*, s. 176—177.

⁸ J. S. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wieki XVI—XVIII*, t. II, Warszawa 1976, s. 178—179.

„Stół gościnny musiał być zasłany obrusem; za niegrzeczność uchodziło częstować gości na nie nakrytym stole [...] Wystawność nakrycia świadczyła o zamożności domu i chęci uczczenia gości [...] Ważną kwestią etykiety było odpowiednie usadowienie gości zależnie od ich dostojności”⁹. Obowiązkiem gospodarza była „prynuka”, a więc „zapraszanie, często natarczywe, czasem nawet i po prostu przymuszanie gości do nadmiernego jedzenia”¹⁰.

Objadanie się było wtedy u nas, tak jak i w innych krajach Europy dla wielu przedmiotem marzeń, a dla warstw uprzywilejowanych — dostępnym i społecznie akceptowanym używaniem życia. „Nie wdając się w szczegółowe rozważania, należy wszakże przypomnieć — pisze znawca tego okresu, Zbigniew Kuchowicz — że jedzenia nie było wtedy za wiele. Luksus i obżarstwo, typowe dla warstw uprzywilejowanych, nie może przysłaniać faktu, iż możliwości produkcyjne kraju były wówczas niższe od potrzeb konsumpcyjnych, że większa część ludności przez długie miesiące nie dojadła, a często wręcz głodowała. Stąd też nie tylko ranga obyczajowa, lecz podstawowe znaczenie, waga stołu w ówczesnym życiu”¹¹. Obficie, kwaśno, słodko i tłusto lubili jadać ówcześni biesiadnicy. „Dzisiejsze słynne z urody modelki czy aktorki uznane by zostały przez Sarmatów za osoby niewydarzone, chorowite, niedożywione, nadszające się do leczenia lub tuczenia. Otyłość nie raziła więc gustów, odwrotnie, znajdowała nawet uznanie”¹². Do ulubionych, powszechnych i charakterystycznych dla polskiej gastronomii potraw należały: barszcz, rosół, sztuka mięsa, pieczenie huzarskie (z masłem i cebulą przyprawione), bigos, pierogi, kiełbasa z kapustą, a przede wszystkim kasze.

„Obżarstwo wśród warstw biedniejszych — pisze cytowany tutaj autor — było sporadyczne i miało związek ze stałym niedojadaniem, ciągłym oszczędzaniem jedzenia. Biedująca całymi miesiącami ludność objadła się tylko podczas chrzcin, wesel czy świąt kościelnych. Najadano się wtedy do syta, dostarczając upragnionych wrażeń podniebieniu, a jednocześnie starając się najeść »na zapas«. Wiedzano bowiem, że najbliższe dni znowu przyniosą niedosyt jada. Zjawisko to występowało nie tylko pośród ludności chłopskiej czy małomiasteczkowej, lecz także u biedującej drobnej szlachty, która sejmiki i aranżowane przez panów zjazdy traktowała przede wszystkim jako możliwość objedzenia się. Przeladowanie nie przyzwyczajonych do mięs i tłuszczów żołądków prowadziło oczywiście do rozmaitych powikłań chorobowych, a nawet zejść śmier-

⁹ *Ibidem*, s. 179.

¹⁰ *Ibidem*, s. 181.

¹¹ Z. Kuchowicz, *Obyczaje staropolskie*, Łódź 1975, s. 11.

¹² *Ibidem*, s. 14.

telnych. Szczególnie fakty takie miały miejsce w okresie Wielkanocy i innych świąt następujących po surowych postach. Wygłodzona ludność dosłownie rzucała się na świąteczne jaja, szynki, kiełbasy”¹³.

Pod koniec XVIII w., idąc za przykładem króla Stasia, amatora biesiad literackich, wypowiedziano energiczną walkę obżarstwu i otyłości oraz zaczęto reformować naszą gastronomię. Ważną stawać się zaczęła jakość spożywanych potraw i lekkość kuchni wg wzorów francuskich. Przemiany nie sięgały jednak szerzej i głębiej. „Zmiany były [...] powierzchniowe i zachodziły jedynie w kręgach popisujących się modną »francuską kuchnią«. Stół masowy, podstawowy pozostał do końca wieku poza zasięgiem tych wpływów”¹⁴. Ekscentryczność zdobienia stołu — charakterystyczne dla baroku pieczone w całości dziki, prosięta, drób, przyozdabiane barwnie i w wyszukany sposób, fantastyczne dzieła cukiernicze — przetrwała czasy rokoka, a w reliktowych formach także i czasy późniejsze.

Dzisiejszy świąteczny stół biesiadny w każdej już warstwie społecznej przykryty jest obrusem. Rzadkie też są domy nie dysponujące nakryciem (talerze i sztućce), wystarczającym dla każdego gościa, jeśli uczestnictwo nie przekracza zasięgu małych grup. Rozszerzone uczestnictwo, na przykład z okazji wesela, uruchamia zwykle pomoc krewnych lub punktów usługowych wypożyczających przedmioty gospodarstwa domowego.

„Odpowiednie usadowienie gości zależy od ich dostojności” okazuje się ważne przy większej liczbie uczestników, choć i w takich przypadkach „dostojność” wiązana bywa raczej z przynależnością gości do starszych pokoleń, niż do wyższej pozycji społecznej czy cywilnego stanu. Niegdyś polska pani domu, dysponująca służbą, w wielu rodzinach zajmowała przy stole pierwsze miejsce (u szczytu stołu lub w centrum „podkowy”). Ustępowała go bardzo rzadko tylko dostojnym starszym paniom, jeżeli chciała je szczególnie uhonorować¹⁵. W dawnej rodzinie chłopskiej w rogu ławy, pod świętym obrazem było miejsce najważniejsze, zasiadane przez gospodarza. Gospodyni, podając do stołu, siadała na miejscu pośledniejszym, nieodległym od pieca i garnków. Dzisiaj panie wielkowiejskich domów (poza nielicznymi wyjątkami, posiadającymi pomoce domowe) dla zaoszczędzenia nóg i czasu czynią to samo, co wiejskie gospodynie. Mąż jednak nie siada na miejscu pryncypialnym, więc

¹³ *Ibidem*, s. 22—23.

¹⁴ *Ibidem*, s. 24.

¹⁵ Mąż siedział skromnie obok pani domu, ale już nie u szczytu stołu, inaczej niż np. w patriarchalnych domach angielskich, gdzie zawsze zajmował pierwsze miejsce.

struktura rodziny na ogół nie znajduje swojego odwzorowania w przydziale biesiadnej przestrzeni, chyba że zakres uczestnictwa obejmuje przedstawiciela(kę) najstarszego pokolenia. Nie bez znaczenia dla braku tego związku bywa także nikłość powierzchni jadalnego stołu.

Wesele w domu czy w lokalu stawia nieraz przed jego organizatorami problem rozsadzania gości przy stole w całej jego wadze i ostrości. Świadczą o tym między innymi liczne zapytania w listach czytelników do redakcji czasopism prowadzących obyczajowe „kąciki”. Nawet w bardzo tradycyjnych rodzinach sprawa ta bywa „łamiągówką” i wymaga pewnego zastanowienia.

„Rozmieszczenie gości przy stole to też cała łamiągówka, by uszanować starszeństwo, pierwszeństwo, dobrać paniom odpowiednich sąsiadów i na odwrót. Młoda para siedzi w środku, przy panience młodej jej teść, przy panu młodym teściowa, matka panny młodej, obok niej ksiądz, który dawał ślub; naprzeciwko pozostała para rodziców, a dalej według wymienionych zasad”.

„Prynuka” wychodzi dziś z mody, a w każdym razie „nie wypada” zapraszać gości w sposób natarczywy do nadmiernego jedzenia (o wiele bardziej trwała okazuje się przy picu alkoholu). Nikt dziś na co dzień nie głoduje i nie musi objadać się od święta. Powszechność pewnej wiedzy o higienie żywienia i moda na odchudzanie działają także w tym samym kierunku. Wśród często podawanych potraw na biesiadnym stole stał się barszcz, rosół, bigos i mięsne pieczenie.

Zelzały posty i nikt się teraz gwałtownie nie rzuca na „święcone”, choć zdarza się dość często, że osoby zmuszone ze względu na stan zdrowia do codziennej dietetycznej kuchni, ulegając pokusie, odstępują od niej w dniach świątecznych i przysparzają pracy personelowi pogotowia ratunkowego.

W czasach saskich „pito dużo za dużo”. „Człek nad apetyt jeść nie może, pić może”, mówiło stare przysłowie, pito więc nad miarę” — stwierdza Jan Stanisław Bystron. Wiek XVI określa ten autor jako wstrzemięźliwy, ale „stopniowo, wraz z upadkiem wyższych aspiracji kulturalnych, pacyfikacją kraju i wzrostem zamożności przeciętnego szlachcica, spławiającego zboże do Gdańska, pijaństwo stało się czymś powszechnym, dobrze widzianym, prawie że towarzysko obowiązującym [...] Rozwielmożnienie się pijaństwa i podniesienie go do zasady towarzyskiego życia nastąpiło w ciągu wieku siedemnastego, do szczytu doszło w następnym stuleciu. Kaznodzieje i satyrycy siedemnastego wieku karzą wytrwale pijackie zwyczaje; za czasów saskich, zdaje się, pogodzono się z tym zupełnie”¹⁶.

¹⁶ Bystron, *op. cit.*, s. 184.

Nieco inne zdanie w tej sprawie ma Zbigniew Kuchowicz: „W publikacjach traktujących o obyczajach staropolskich często wspomina się o straszliwym, panującym nagminnie w Polsce XVII—XVIII wieku pijaństwie, którym rzekomo ogarnięte były wszystkie warstwy społeczne. W fakcie tym upatruje się wręcz wadę narodową. Badania źródłowe, jakie przeprowadzono na ten temat w ostatnich latach, rzucają nieco odmienne światło na to zagadnienie. Można śmiało stwierdzić, iż powszechne do niedawna opinie o demonicznym wręcz i specyficznym dla stosunków polskich pijaństwie są powierzchowne i wyolbrzymione. Pijaństwo nie było w Polsce tak powszechne, jak się to do niedawna sądziło. Panowało ono przede wszystkim wśród zamożnych, a więc wśród wąskich tylko kręgów społecznych. Pijatyki, którym hołdowali osławieni opoje szlacheccy saskiej doby, nie były typowe dla całego społeczeństwa. Należy również podkreślić, że spożywanie trunków miało w tych czasach bardziej złożony charakter i nie można go mierzyć dzisiejszymi kryteriami”¹⁷. W dalszym ciągu swoich wywodów autor ten podkreśla odmienną rolę warunków życia ówczesnych ludzi i żywieniową rolę piwa, miodów i win, a także lecznicze zastosowania alkoholu i jego istotną rolę w wielu tradycyjnych zwyczajach i obrzędach. Oczywiście przede wszystkim był jednak trunek traktowany jako używka, dostarczająca specyficznych podnieć, jednakże nie konsumowano jej żywiołowo, bez społecznej regulacji i kulturalnej oprawy: „w obyczajowości polskiej wytworzyła się swoista kultura picia alkoholu, która polegała nie tylko na picciu, lecz także na kultywowaniu rozmaitych tradycji, zwyczajów itd. Znalazło to odbicie zarówno w istnieniu szerokiego asortymentu trunków, jak również i w wytworzeniu się bogatego słownictwa bachicznego i interesującej twórczości literackiej oraz w licznych, niezwykle bogatych zwyczajach bachicznych. Umiarkowane, w oczach ówczesnych, »uciechy z Bachusem« były nie tylko tolerowane, lecz wręcz zalecane, a czasem nawet gloryfikowane. Stanowiły one kapitalny element w ówczesnej kulturze obyczajowej i odgrywały dużą rolę w ówczesnym pojmowaniu pełni życia”¹⁸. Taki stosunek do alkoholu, jak pisze dalej Zbigniew Kuchowicz, pociągał za sobą niebezpieczeństwo nadużyć i prowadził nieraz do wstępnego opilstwa, nie było ono jednak typowe dla całego ówczesnego społeczeństwa. W pracach źródłowych przedstawiających rolę karczmy w towarzyskim życiu wsi ukazane jest picie alkoholu w całej jego złożonej społeczno-kulturalnej oprawie¹⁹.

Złożone funkcje i rola, jaką spełniał trunek, pobudzały do szerokiej

¹⁷ Kuchowicz, *op. cit.*, s. 45.

¹⁸ *Ibidem*, s. 46.

¹⁹ Por. J. Burszta, *Wieś i karczma. Rola karczmy w życiu wsi pańszczyźnianej*, Warszawa 1950.

twórczości o charakterze bachicznym — powstawały pieśni, przyspiewki, kuranty, facecje, fraszki, anegdoty. Jak pisze Kuchowicz, „gustowały w nich wszystkie warstwy, stąd też autorzy ich celowali w różnych pomysłach [...] Tego rodzaju twórczość reprezentowała nieraz wysoką wartość artystyczną”²⁰, jak na przykład przesławny *Kurdesz nad kurdeszami* Franciszka Bohomolca.

W ostatnim ćwierćwieczu XVIII wieku nastąpił zmierzch mody na alkoholowe nadużycia i opilstwo. „Wiele zdziałał tu osobisty przykład Stanisława Augusta, który wręcz brzydził się pijaństwem. Pijatyki stały się niemodne, praktykowanie ich świadczyło o prymitywnych, prowincjonalnych gustach. Zmiany zachodzące w tej dziedzinie obyczajowości dostrzegali cudzoziemcy. Biester np. tak pisał: „Dawniej żadnej sprawy nie załatwiono bez uczty i pijaństwa. Zwyczaj ten jednak szybko zanika, ponieważ król i jego rodzina świecą przykładem wstrzemięźliwości”²¹.

Umiar i wstrzemięźliwość, te apollińskie cechy kultury staropolskiej, którym służyły powszechnie niegdyś respektowane biesiadne zwyczaje, zagrożone były, a nawet wypierane przez żywiołowe, dionizyjskie²² rozpasanie czasów saskich (na pewno zresztą nie większe niż w wielu innych krajach Europy w tym okresie czasu).

Zbigniew Kuchowicz przeciwstawił się poglądom głoszącym typowość i powszechność opilstwa w społeczeństwie tamtego okresu naszej historii. Tym bardziej w czasach późniejszych, w czasach niewoli, powstań i represji, polskie biesiadowanie daleko odbiegało od funkcjonujących we współczesnej społecznej świadomości saskich stereotypów. Z braku naukowych opracowań w tej dziedzinie warto chyba przypomnieć, choć być może wyidealizowany, ale przecież bardzo prawdopodobny wzór dawnego polskiego biesiadowania, zarysowany w obrazie „ostatniej uczty staropolskiej” z dwunastej księgi *Pana Tadeusza*. Rzeczywiste zachowania w różnych środowiskach i w różnych okresach czasu mniej lub więcej do niego się zbliżały.

Umiar i wstrzemięźliwość obowiązywały zawsze szczególnie żeńską część biesiadników. Trudno przecież nawet przypuszczać, że noszące narodową żalobę polskie kobiety nadużywały napojów alkoholowych w wieku XIX. Ale i dawniej nie było w zwyczaju, aby kobiety piły trunki,

²⁰ Kuchowicz, op. cit., s. 78—79.

²¹ *Ibidem*, s. 77. Zamieszczony w tym fragmencie cytat J. E. Biestera pochodzi z *Kilka listów o Polsce pisanych latem 1791 roku*, [w:] *Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców...*, t. II, s. 229.

²² Por. wyodrębnione przez R. Benedict dwa typy kultur (*Wzory kultury*, Warszawa 1965). Typ apolliński charakteryzuje umiar, opanowanie, dążenie do wyeliminowania konfliktu, a typ dionizyjski — gwałtowność i uniesienie.

nie było też w zwyczaju, aby słuchały „nieprzystojnych” żartów i wulgarnych opowieści. „Kobiety winny były demonstrować swą wstrzeźliwość, o ile więc zasiadały przy jakimś bankiecie, najczęściej weselnym, dotykały tylko ustami pełnych kielichów na znak, że biorą udział w toastach”²³.

Dziewiętnastowieczne i późniejsze mowy weselne w swojej treści łączyły nieraz wartości rodzinne z narodowymi. Oto mowa wygłoszona w 1918 roku przez pradiadka jednej z uczestniczek niniejszych badań na weselu jej dziadków:

„Talizmanem szczęścia to Wasze wzajemne przywiązanie oparte nie tyle na zewnętrznych i światowych względach, ile raczej na braterstwie Waszych dusz szlachetnych i podniosłych, na wspólnym umiłowaniu tych ideałów, które przyświecały Waszym ojcom i dziadom i Wam dziś świecą. Cięży na nas wszystkich obowiązek, aby w gmach życia ojców zamienić mogiłę. Powstająca z grobu ojczyzna bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje silnych i dzielnych rąk. Musicie z rąk nas, starszych, przyjąć tę gorejącą pochodnię narodowego życia i nieść dalej i dalej, aż w każdym polskim pałacu i w każdej polskiej chacie rozplómieni się prawdziwa miłość ojczyzny i poczucie obowiązków dla niej. Nie wątpię, że potraficie pogodzić wzajemną miłość do siebie z obowiązkami dla Ojczyzny i że tym pełniejsze w domu szczęście znajdziecie, gdy ono będzie w Ojczyźnie”.

Jednym ze zwyczajów związanych z gościnnością, biesiadą, otwartością domu było prowadzenie „księgi gości”: „Moja mama pamięta jeszcze niektóre wierszyki okolicznościowe z »księgi gości« z domu dziadków (rodziców mamy). Pierwszy z nich zadedykował mojej babce Ludwik Hieronim Morstin, podobno uroczy człowiek, choć mało znający się na gospodarstwie wiejskim:

»Dom poznaje się po wołu
i po pani, i po stołu —
Mówił Pol Wincenty.
Nie widziałem tutaj wołu,
Co do Pani i do stołu
Moje komplementy«.

„Inny wiersz — bardzo smutny — wpisał do księgi gości Jan Rostrowski podczas swego pobytu u nas, wkrótce po śmierci swego ojca, Karola Huberta, a zaczynał się tak:

»Nie chciał wieńców, bo martwe ozdabiają ciała,
Nie chciał mów — bo są puste i jak cymbał brzmiające,
Chciał, by zamiast orkiestry nad grobem mu grała
Kapela drzew szumiących zapatrzona w słońce“.

²³ Bystron, *op. cit.*, s. 186.

Jak dziś wyglądają domowe świąteczne biesiady, organizowane w mieszkaniach wielkomiejskich? Nadal, i już powszechnie, przywiązują się duże znaczenie do biesiadnego stołu i do jego estetyki. Często, i to w najrozmaitszych warstwach i środowiskach spotkać można dekoracje kwiatowe, żywe światło kolorowych świec w lichtarzach, specjalną, odświętną zastawę stołową na czystym białym lub kolorowym obrusie, kolorowe serwetki, zwykle do jednorazowego użycia. Większe zrównanie społeczno-ekonomicznych różnic spowodowało też złagodzenie ostrego dawniej w biedniejszych warstwach kontrastu pomiędzy stołem codziennym a świątecznym. Można dziś mówić o uniformizacji biesiadowania i biesiadnego stołu w obrębie bardzo szerokich mas ludności wielkomiejskiej, w której skład wchodzi zarówno umysłowi, jak i fizyczni pracownicy. U biesiadnego stołu weselnego, zastawionego z reguły „elegancko”, „po pańsku” między różnego rodzaju gatunkami napojów i wyrafinowanymi sałatkami, pasztecikami itd., skanduje się dziś powszechnie plebejskie „gorzko, gorzko”, a czasem obok takiego biesiadnego stołu praktykuje się relikty ludowych oczepin, także zresztą nieraz i w domach starej inteligencji.

Trzeba jednak zaznaczyć, że pozadomowe zaangażowania i zainteresowania kobiet zredukowały znacznie wyrafinowanie domowej sztuki kulinarnej w domach, w których rozkosze podniebienia były niegdyś bardzo ważne. Oto jedna z ilustrujących ten fakt wypowiedzi:

„Przysięgałam sobie, że w moim domu nie będzie tego, że nie mogę dopuścić, by wszystko obracało się tylko wokół kuchni i stołu, bym na chwilę nie mogła przysiąść z gośćmi i porozmawiać, bo stale trzeba coś podgrzać, ostudzić, zmienić itd.”

Ten namiętny bunt młodej kobiety, przywracając słowu „biesiada” jego starodawne znaczenie, wskazuje jednocześnie jako właściwe dla pani domu miejsce w pokoju, przy stole z gośćmi, a nie w kuchni.

Wystawność i „rozmiary” przyjęć zależą od wielu czynników, wśród których czynnikiem podstawowym są finansowe możliwości rodziny oraz środowiskowe wzory biesiadowania. Urządzenie weselnego przyjęcia w rodzinach podmiejskich kosztuje kilkadziesiąt tysięcy złotych. Przy tej samej liczbie uczestników koszt takiego przyjęcia w rodzinach starej inteligencji mieści się nieraz w kilku tysiącach: „Przyjęcie miało charakter cocktailu, były same słodkie rzeczy, tj. torty, ciasta, wina, kawa i herbata. Ponieważ obecnych było masę osób (przeszło 50), nie sposób było inaczej zaaranżować przyjęcia, ze względów finansowych (koszt przyjęcia nie przekroczył 3000 zł), jak i z braku miejsca, ponieważ nie byłoby gdzie usiąść w takim dużym gronie. Większość gości stała grupkami i rozmawiała, popijając i jedząc słodczyce na stojąco. W trakcie przyjęcia weselnego obaj ojcowie rodzin wypowiedzieli uroczyste mowy. Było

to jakby przekazanie panny młodej drugiej rodzinie i błogosławieństwo dane młodej parze. Pod koniec przyjęcia para pożegnała się z rodzicami, którzy pobłogosławili im na drogę, i wyruszyła do swojego nowego domu. Do samochodu, którym odjechali, zapakowano kwiaty, które otrzymali, i prezenty. W trzy dni później, już w mieszkaniu młodej pary, odbyła się prywatka weselna dla młodego pokolenia — znajomych i krewnych nowożeńców, ponieważ w przyjęciu uroczystym brało udział przeważnie starsze pokolenie. Koszt tej prywatki nie przekroczył pięciuset złotych”.

Alkohol utracił na ogół wiele swoich dawnych, ważnych funkcji, na przykład żywieniową i zdrowotną, zatrzymując głównie najbardziej dla siebie swoistą funkcję podniecającą — używki redukującej napięcie i „rozwiązującej języki”. Jednak, coraz częściej pojawiający się przy różnych okazjach szampan pełni w niektórych rodzinach funkcję prestiżowego wskaźnika, symbolu dobrobytu, dostępnego niegdyś tylko ludziom bardzo zamożnym (stereotyp — „szampańskie życie”). Podobną funkcję pełnią też nieraz koniaki i likiery.

Bachiczne zwyczaje zredukowane zostały na ogół do reliktowych, bezoracyjnych, czasem dowcipnych, ale często nader nieporadnych toastów. Wśród badanych rodzin znalazło się zaledwie kilka, w których zanotowano zwyczaj wygłaszania oracji i rozbudowanych toastów weselnych. Oto jeden z tych nielicznych przypadków: „Pierwszy toast wznosi ojciec panny młodej, zwracając się do młodej pary oraz ewentualnie do rodziny zięcia, chyba że później ktoś specjalnie przemówi witając i chwalać tę rodzinę. Drugi przemawia ojciec pana młodego i wznosi zdrowie rodziny synowej. Każdy z mówców pilnie przedtem przestudiował dzieje nowej rodziny, by móc podkreślić w przemówieniu wszystkie pozytywy. Z opowiadań wiem, że przed wojną bywało jeszcze wznoszone zdrowie duchowieństwa i zdrowie Rzeczypospolitej. Jeśli który z panów chce jeszcze coś powiedzieć, czyni to po przemówieniach ojców. Oczywiście przemawiają tylko mężczyźni, a na końcu, przy szampanie (dawniej przy węgryzynie) przyjaciel lub krewny wznosi toast »kochajmy się« w tonie serdecznym i lekkim. Mój brat, któremu przypadł ten toast na opisywanym ślubie, opiewał tu zalotność polskich pań, rycerski obyczaj mężczyzn wobec nich, jednocześnie delikatnie uprzedzał młodego małżonka o pantofelku, pod który dostanie się on nieuchronnie”.

I przypadek drugi, ukazujący rodzinny snobizm i brak taktu w przemówieniach, w sytuacji zawierania małżeństwa mieszanego pod względem środowiskowej przynależności młodych: „Dalszy ciąg uroczystości odbył się prawie bez zakłóceń. Piszę celowo »prawie«, bo pewien zgrzyt powstał przy rozsadzaniu gości przy stole. Mama nasza już właśnie zasiadała na wyznaczonym dla siebie miejscu, gdy obok niej znalazł się

dość radosny ojciec panny młodej z kieliszkiem w garści i trącając mamę w bok krzyknął jej do ucha: napijmy się wreszcie! Mama była damą pełną rezerwy i takie zachowanie mogło ją nieco zaszokować, ale zachowała się dzielnie, uspokajając zapaly do picia swego sąsiada. Niezbyt dobrze były dobrane tematy przemówień weselnych podczas obiadu. Otóż wydaje mi się, że zwykle rodzina panny młodej, to znaczy ktoś z jej przedstawicieli, podnosi zasługi rodziny narzeczonego i odwrotnie — przedstawiciel rodziny pana młodego przygotowuje nieco »ciepłych« słów na temat panny młodej lub jej rodziny. Tutaj było nieco inaczej, a mianowicie dwaj kolejni przedstawiciele naszej rodziny sławili niektórych jej członków i dopiero pod koniec przemówienia jeden z nich wspomniał, że rodzina nasza wyraża radość z powodu włączenia do niej tak zacnej osoby, jaką jest młoda małżonka. Wymienił parę miłych słów pod jej adresem, więc być może obie te »mowy« nie były poczytane za złe naszej rodzinie, choć z »tamtej strony« nikt nie przemawiał. Po skończonym obiedzie podeszła do mnie bardzo godnie i sympatycznie wyglądająca matka mojej nowej bratowej ze słowami: czuję do pani sympatię i zaufanie, więc muszę pani coś powiedzieć: Lubię bardzo pani brata, ale małżeństwo w obecnej dobie jest narażone na wiele trudności i niebezpieczeństw. Obawiam się, że gdyby pożycie ich nie układało się zgodnie, to rodzina pani powiedziałaby: »jak mogło by być inaczej, skoro Tadek ożenił się z panną Noga? Widocznie nie umiała się dostosować do nowego środowiska«. A przecież tyle jest innych powodów, dla których małżeństwo może nie być szczęśliwe — zakończyła swój wywód starsza pani. Od tej chwili minęło 17 lat i jeśli ktoś w tym związku nie zawsze stawał »na wysokości zadania«, to raczej mój brat, wychowany właściwie bez domu i bez ojca (wojna zaczęła się, gdy miał 4 lata). Mimo różnych trudności stanowią małżeństwo oparte na wielkiej przyjaźni i zaufaniu. Ogólne wrażenie z owego wesela pozostało mi w pamięci jako nieco sztywny nastrój, ponieważ goście na ogół nie znali się, bo obie rodziny, jak wspomniałam, poznały się dopiero na ślubie, a koleżanki i koledzy państwa młodych byli nieco onieśmieleni obecnością starszego pokolenia i wielu nie znanych sobie osób”.

W wielkomiejskim, modernizowanym środowisku zupełną rzadkością są kultywowane niegdyś w starych inteligenckich rodzinach „mowy”, znikły anegdoty i „facecje”, zarzucono też prawie już powszechnie tradycyjne chłopskie przyspiewki i ludowe „bajania”, nie ma dostojnych polonezów i oberków (ciasnota i akustyczność mieszkań!)²⁴.

²⁴ Architektoniczno-urbanistyczne uwarunkowania kulturalnej oprawy domowych uroczystości w satyrycznym skrócie przedstawił L. J. Kern w utworze zatytułowanym *Imieniny po polsku*, „Przekrój”, 1978, nr 1757.

Rzadko kiedy tańczy się wiele. Siedzenie przez wiele godzin przy zastawionym stole to najczęstsza pozycja fizyczna biesiadników. Jeśli są tańce, to ich repertuar (gdy obecne są co najmniej dwa pokolenia) łączy w sobie tradycję z „nowoczesnością”: obok aktualnie modnych tańców (dla młodzieży) walce, tanga, polki (dla wszystkich). Muzyka „żywa” ostała się jedynie na podmiejskich weselach. Na ogół zaś muzyczna oprawa biesiadowania jest „mechaniczna”. Uczestnicząc na wielu weselach, spotykałam się zresztą wielokrotnie z dezaprobatą takiej oprawy ze strony osób starszych, pochodzących z terenów wiejskich. W czasie badań natrafiono zaledwie na kilka przypadków świątecznego amatorskiego „muzykowania”. Równie rzadko występuje recytowanie wierszy i uprawianie różnych gier towarzyskich (szachy, warcaby) po spożyciu posiłku przy biesiadnym stole.

Pozostał natomiast (i powszechnie występuje) sam rdzeń prądowej biesiady: „zasiadanie, zgromadzenie, rozmowa” przy stole zastawionym jadłem i napitkiem. Opowieść, śpiew i taniec w znacznej części przejęły w kulturze domu i przekazują — nieraz w znakomitym wykonaniu — środki masowego oddziaływania²⁵, głównie telewizja oraz płyto-we i taśmowe nagrania.

W wielu kulturach, a również i w naszej kulturze staropolskiej, ale także i w nowszej, późniejszej ważną rolę w całokształcie domowej kultury zabawy odgrywał zbiorowy śpiew, integrujący grupę uczestników i dający jednostkom fizjologiczny i nerwowo-psychiczny wypoczynek. Na tym polu dostrzec można wyraźny regres w porównaniu do lat przedwojennych i wczesnych lat powojennych. Dziś w domu śpiewa się rzadko. Szczególnie zaś rzadko śpiewa młodzież. Starsi nieraz w razie potrzeby przypominają sobie z trudem wyrwane z całości zwrotki kolęd oraz ludowych, partyzanckich czy wojskowych piosenek. Młodzi czasami tylko znają pierwsze zwrotki pieśni śpiewanych przez starsze pokolenie. Jeśli czasem śpiewają, to „przeboje” z radia lub telewizji; rzadko też znają piosenki ze szkoły. Szkoła uczy dziś chyba raczej teorii muzyki niż kulturalnego wyrażania radości życia w zbiorowym śpiewie.

Imieniny, urodziny, wesela, rocznice ślubu i inne uroczystości mieszczą w sobie zwyczajowy wzór właśnie tego rodzaju ekspresji. Ogranicza się ona jednak zwykle do mniej lub bardziej nieestetycznego odśpiewywania po kilka razy wiwatu „Sto lat”. Stosunkowo najbardziej rozśpiewywane są rodziny podmiejskie uwzględniające zresztą w swoim repertuarze piosenki, których teksty określić można jako dosadnie rubaszne.

²⁵ W demokratycznych społeczeństwach, w których istnieje autentyczny dialog pomiędzy nadawcami a odbiorcami, właściwsza wydaje się nazwa — „środki społeczno-kulturalnej komunikacji”.

Częściej też można uczestniczyć w „rozśpiewanym” i „roztańczonym” weselu w rodzinach wiejskiego pochodzenia.

Rubasznosc, a nawet wulgarnosc spotkac tez mozna nieraz w kulturze swietowania u mlodziezy zamieszkałej w centrum miasta. Jako ilustracja posluzyc tu moze jedno z licznych wesel, ktore stanowily przedmiot mojej obserwacji. Bylo to wesele mlodych absolwentow studiow uniwersyteckich, odbywajace sie w ciasnym mieszkaniu rodzicow panny mlodej posiadajacych rowniez uniwersyteckie wyksztalzenie. Rodzina nastawiona byla na sukces materialny i zawodowa kariere, wewnetrznie sklóciona, a nawet faktycznie (choć nieformalnie) rozbita. Po sutym i nader urozmaiconym posiłku i po wychyleniu kielichow z weselnym szampanem „za zdrowie mlodej pary” podochocone druhny (kolezanki panny mlodej ze studiow) postanowily urzadzic „oczepiny”. Ta parodia szacownego niegdys obrzedu polegala glownie na wielokrotnym podrzucaniu pod sufit i łapaniu slubnego przybrania glowy, stanowiacego szczatkowa forme mirtowego wianka, dawnego symbolu „cnotliwosci” narzeczonej. Czynnosc ta utracila juz tutaj swoja funkcje wróżbiarska — wrózenie pierwszenstwa zamazpójscia dziewcząt. W trakcie tej zabawy podchmielone nieco dziewczęta spiewaly tzw. czastuszki, krótkie przyspiewki o tematyce dalekiej od spraw malzenstwa i rodziny, a dosyc wulgarne w doborze slow. Obserwujac reakcje pozostalych uczestnikow, stwierdzilam zażenowanie u pana mlodego i niepewne nieco spojrzenie gospodarzy wesela — rodzicow panny mlodej. Po wyczerpaniu sie repertuaru piosek tego typu poprosilam o kontynuowanie zbiorowego spiewu. Bezskutecznie, bo zadnych innych utworow dziewczęta nie znaly.

Takie „oczepiny”, jak to wynika z zebranych opisow, rozmow i obserwacji, nie sa typowe dla wielkomiejskich wesel. Jednak takze i nietypowe przypadki sa jakimś sygnalem problemu, sprowadzajacego sie do pytania postawionego w piosence Wojciecha Mlynarskiego: „Jak sie bawic?” Mlodzię informowala zreszta czesto o braku atmosfery swobodnej zabawy na roznych karnawalowych imprezach. Oto jeden z przykladow: „Karnawal zas jako taki w zasadzie teraz nie istnieje. Od czasu do czasu jakaś instytucja wyda bal, ale nie ma juz tej atmosfery zabawy karnawalu, jaka znamy z opowiadania babć. Moze ludzie nie umieja juz sie bawic, moze sa zbyt zmeczeni pracą, zbyt zaabsorbowani sprawami finansowo-domowymi, aby bawic sie wesoło i swobodnie?”

Wymieniajac menu mlodzięzowych „prywatów”, dziewczęta i chłopcy informuja o „duzej ilosci napojow alkoholowych”, konsumowanych takze i przez dziewczęta, ktore teraz juz nie tylko symbolicznie dotykaja wargami brzegow kielicha, podobnie jak kobiety na terenie rodzinnego domu. Jest to zjawisko w kulturze rodziny nowe, symptomatyczne dla wspolczesnych miejsko-przemyslowych spoleczenstw, w ktorych obok

alkoholików pojawiają się też alkoholiczki. Nie trzeba dodawać, jak jest ono niebezpieczne zarówno dla świątecznej, jak i dla codziennej kultury rodziny. Jednak nadużywanie alkoholu nadal znacznie częściej występuje u mężczyzn, o czym z dużą dezaprobatą i troską o całość rodziny informują głównie badane dziewczęta.

W świetle wypowiedzi badanej młodzieży udział dziecka w domowym biesiadowaniu dorosłych jest dziś zjawiskiem powszechniejszym niż w dzieciństwie rodziców, kiedy to w wielu miejskich rodzinach izolowano dzieci i powierzano opiekunkom nawet wtedy, gdy biesiadowanie było pełne umiaru i odbywało się w bardzo ceremonialnej oprawie. Obserwacja ta koresponduje z wynikami badań Andrzeja Święckiego, wskazującymi na niebezpieczne zjawisko wczesnego rozpoczynania picia alkoholu przez dzieci i młodzież. W rodzinach pijackich degeneracja zwyczajów posuwa się bowiem do „prynuki” stosowanej wobec dzieci.

Niedostatek aktywnych, a moralnie godziwych form zabawy biesiadnej utrzymującej m.in. w ryzach spożywanie alkoholu jest prawdopodobnie — obok braku wyższych aspiracji kulturalnych — jednym z istotnych czynników wpływających na jego nadużywanie (pięć milionów nadmiernie pijących, a więc dwadzieścia milionów żyjących w orbicie alkoholowych nadużyć!). Wiąże się z tym nasilenie się dionizyjskiego nurtu w świątecznym domowym świętowaniu, a nieraz też degenerowanie się zwyczajów biesiadnych. „Ludzkie” i „polityczne”, podtrzymujące umiar i ład społeczno-kulturowy, nabierają wtedy cech hulaszczyczych wybryków, rozkładających strukturę i kulturę rodziny i społeczeństwa.